

Kamena

NR 9 (907)

1 maja 1988

Cena 35 zł

Bez klaki

Zdobyć własnego komunista

ZAZWYCZAJ wzmianka o programie teatralnym (rozumianym jako druk informacyjny, towarzyszący spektaklowi) znajduje miejsce na marginesie recenzji, by niejako dopełnić pole widzenia krytyka. Ja natomiast zechcę się zająć programem na samym wstępie omówienia premiery „Mandatu” w Teatrze im. J. Osterwy.

Oprócz chęci pochwalenia „trafionej” ideowo i utrzymanej w indywidualnej stylizacji strony plastycznej (rzecz Mikołaja Smocznyckiego), skłaniał mnie do tego, pewien zabieg formalny, zastosowany przez kierownika literackiego przy komponowaniu treści. Jerzy Jasiński dokonał dość osobliwego, na pierwszy rzut oka, zestawienia tekstów — artykuł o radzieckim teatrze okresu Łunaczarskiego (pierwszy ludowy komisarz oświaty) zamieścił obok fragmentu książki Michała Gorbaczowa pt. „Przebudowa i nowe myślenie”. Wypowiedź o pierestrojce w Kraju Rad pozornie nie przysłaje do artystycznego sąsiedztwa, ale jest znaczącym, chociaż tu nie wypowiedzianym, komentarzem, przyzetowującym do odbioru sztuki Erdmana.

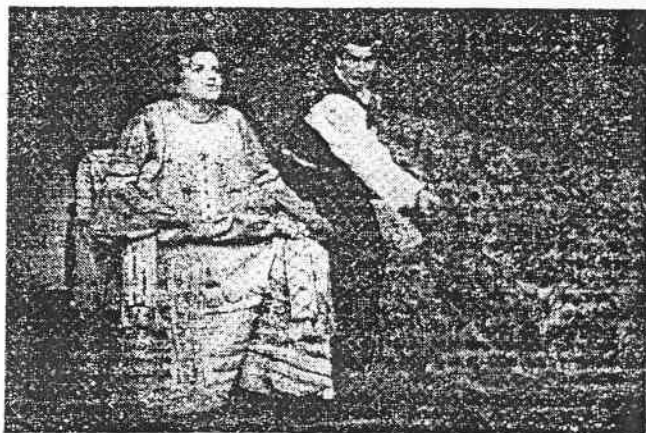
Zmieniający się kontekst polityczny, ukazany przez taki dobór wypowiedzi, tłumaczy receptę sztuki na przestrzeni kilkudziesięciu lat (powstała w 1925 r.) oraz zwraca uwagę na relację między światłem rzeczywistym a wykreowanym na deskach scenicznych. Sprawa to wielce istotna, bo chociaż „Mandat” jest sztuką o świecie, jaki autor widział wokół siebie, jednak pewne działające tam mechanizmy wydają się mieć wartość ponadczasową. Taką jest, wypracowana i wyolbrzymiona przez dramaturga na użytek sztuki, skłonność ludzka do asekurancтва i koniunkturalizmu w wyznawanych wartościach. Stąd też niemal wszystkie postacie mają podwój-

ne oblicza, czego zabawna ilustracją jest ta oto scenka:

NADIEŻDA PIETROWNA: „Panowie kochani, zlitujcie się nad człowiekiem prawosławnym, Antonie Zygmuntowicz, on tylko z jednej strony jest komunistą, a z drugiej...”

PAWEŁ SIERGIEJEWICZ: A z drugiej to całkiem na odwrót (wstaje i kładzie się. Do tyłka przykleił mu się portret cara Mikołaja).

Prawie do wszystkich osób „Mandatu” odnoszą się słowa głównego bohatera: „Ja to jestem człowiek wszechstronny”. Przy czym owa „wszechstronność” oznacza tyle co utilitaryzm, skrajną dyspozycyjność, zdolność przystosowania się za każdą cenę, łatwość kompromisów etycznych. Ich życiowe wysiłki skierowane są na zabezpieczenie się. U przedstawicieli młodej władzy radzieckiej. I u reprezentantów warstwy świeżo co zdeklasowanej. Ludzie ci są opowani zarówno chęcią „zdobycia własnego komunisty”, jak i „ocalenia tego, co po dawnej Rosji zostało”. Przecięgając się w pomysłach wygodnego urzędzenia się, przeprowadzają spekulacje tej natury: „Ależ taki człowiek jak Paweł Siergiejewicz [właściciel mandatu partii bolszewickiej, jak się później okaże, fałszywego — przyp. M.J.] to po prostu nie człowiek, tylko list żelazny. Jeżeli trzeba będzie za mnie poręczyć, to on poręczy, jeżeli trzeba będzie się za mną wstawić, to się wstawi. Jeżeli będzie mi potrzebna rekomendacja, to mi da rekomendację, jeśli będę chciał mieć czyste buty, to mi je wyczysta”. Wszystko to jest dwuznaczne, gotowe do nagłych przestożarów, zmiany reprezentowanych dolać barw. Nawet obrazy w salonie Gulaczkinów są malowane po obu stronach płótna: na jednej jest „Wierze, Pannie, wierze”, na drugiej — portret Karola Marksa.



Jadwiga Jarmuł i Jacek Cierniak w „Mandacie” Nikolaja Erdmana
Fot. Zygmunt Rytko

Taka przerażająca rzeczywistość została przedstawiona jednak komediowymi środkami, oscylującymi nawet w kierunku farsy. Śmiech na widowni osiąga się różnymi metodami, bo z woli Erdmana „Mandat” ma być arcykomiczny. Toteż jest w nim miejsce na elementy karykatury i groteski, zabawę grą słów. Dla komizmu niższego rzędu autor buduje sceny jak ta, gdzie matka z pistoletem w ręku zaskakuje własne dzieci, wlamujące się do skrzyni, i mimo długiej z nim konwersacji nie rozpoznaje ukrytych za kufrem. Takie „chwytły”, przy swojej długości i znacznym stopniu zużycia przez wielowiekową eksploatację, zamiast bawić — nużą. W tym sensie sztuka Erdmana nieco się zestarzała. Dłzisiaj — jak mi się wydaje — nawet w utworach komediowych wśród prowokowanego chichotu pozostała się chwila ciszy na zadumę. Ponadto sztuka ma wiele cech też porolucyjnej dramaturgii — zbyt jawny dydaktyzm, skłonność do „topologicznego” wręcz wykładania każdej piny oraz schematyczność w budowaniu postaci.

Wierność tekstowi zdecydowała o kształcie scenicznym przedstawie-

nia w lubelskim teatrze. Andrzej Rozhin (przy współpracy Pawła Lizuta), wyreżyserował je w tradycyjnej; konwencji. Akcja rozgrywa się w realistycznej, bardzo pięknej scenografii Andrzeja Markowicza (i współpracującego z nim Ireneusza Salwy), zrobionej z wielką troską o każdy szczegół. Cały spektakl odznacza się dużą starannością realizacji. Wyjątkowo dobrze zespółone są wysiłki kompletu aktorskiego. Prawie każdy ma w tym przedstawieniu „swoje pięć minut”, niezależnie od rangi roli. Długo można by omawiać poszczególne kreacje. A miejsca tylko tyle, by o najlepszych wspomnieć. Wśród widzów największe uznanie i sympatię zyskała Jadwiga Jarmuł (służąca i fałszywa carewna). Na drugim planie zaś wyróżnił się Jerzy Rogalski (służący Agalon). Oszczędnie używana muzyka Andrzeja Zaryckiego jest w tym przedstawieniu funkcjonalnym znakiem kulturnym, szybko sytuującym akcję w czasie i klimacie politycznym. Wykorzystuje się ją również dla wprowadzenia na scenę układów choreograficznych Jacka Tomasika, które ubarwiają wizualnie spektakl.

Magdalena Jankowska